

ROK X Nr 3 (70)
NIECODZIENNIK
LIPIEC
SIERPIEŃ
WRZESIEŃ
2009

MIĘDZY NAMI

N I E C O D Z I E N N I K

ANINIANAMI

ISSN 1644-6156

PISMO BEZPŁATNE



OD REDAKCJI – O REDAKCJI

Oto oddajemy do rąk Czytelnika 70 numer niecodziennika „Między Nami Aninianinami”. Dobrze było to określenie (w pierwszym numerze pisma), bo jest to niecodziennik nie tylko z powodu swej niezwykłości, ale... raz ukazuje się jako miesięcznik, raz półrocznik, ostatnio jako kwartalnik.

Jego założyciele, wywodzący się z osiedla Instytutu Badań Jądrowych niewiele wiedzieli o historii Anina, bo i skąd? Chętnie więc zaprosili do współpracy tych, którzy znali Anin od urodzenia. „Stary Anin” przyłączał się do inicjatywy z wolna, lecz konsekwentnie. W rezultacie dziś pracują w redakcji przedstawiciele starego, nowego Anina, Sadula, a także Marysina i nie ma u nas rozumowania w rodzaju: to, co dawne, było dobre, a to, co teraz – marne, niemrawe, nikłe, byle jakie...

Nie ma w Aninie kasyna z nostalgią wspomnianego, ale jest Klub Kultury, odnowiony, zadbany, dostępny; jest wspaniała biblioteka, mieszcząca w nowym gmachu nie tylko książki i komputery, ale i gromadząca chętnych do współdziałania ludzi. Rodzą się wciąż nowe inicjatywy, ukazujące Anin bogaty tradycjami, ale i nowymi osiągnięciami.

W ciągu 10 lat ukazywania się pisma współpracowało z nim – jak dokładnie wyliczyliśmy – ponad 400 osób. Wliczamy tu nie tylko podpisanych autorów, rysowników, fotografów, ale i tych, którzy pomagali w tworzeniu pisma, jego rozpowszechnianiu.

Pisali do nas nie tylko aninianie, ale przyjaciele z Wawra, Falenicy, Marysina, Międzyzlesia. Gościiliśmy na swych łamach artykuły ludzi znanych i sławnych.

Nakład wzrósł ze stu początkowych egzemplarzy do tysiąca, a że się one rozchodzą, świadczy fakt, iż niektórych numerów brakuje nawet w archiwum redakcji i trudno skompletować roczniki, o które proszą nas niektórzy miłośnicy historii. (Komplet z Biblioteki Stołecznej został... skradziony!)

Że nie było nam łatwo wydawać MNA, pisać nie musimy. Proszę przeczytać wspomnienie pana Gośławskiego o trudnościach z wydawaniem „KOLKI ANINSKIEJ”; ukazał się tylko jeden jej numer.

Może kiedyś i my opowiemy, jak się nam pracowało, o naszych kłopotach i sposobach ich pokonywania.

Dziś cieszymy się tym 70-tym numerem.

MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI

NIECODZIENNIK PISMO BEZPŁATNE

Redakcja: Maria E. Chodorek (redaktor naczelny), Alicja Francman, Małgorzata Fryza (redaktor prowadzący), Dariusz Osiński, Orest Pęgiński, Jadwiga T. Szymczak, Antoni Wiweger, Marta Wołodko, **Adres redakcji:** ul. Trawiasta 10, 04-618 Warszawa, tel. 0 22 815 33 21, **Adres e-mail:** wolodko.mna@wp.pl, **Czytajcie:** <http://aninski.blogspot.com>, **Wydawca:** Biblioteka Publiczna Dzielnicy Wawer, ul. Trawiasta 10, 04-618, Warszawa (Dyrektor Barbara Szpinda) we współpracy z Oddziałem Anin TPW i Stowarzyszeniem Właścicieli Nieruchomości w Aninie, **Projekt graf. okładki:** Jacek Bakanowski, fot. Roman Biernacki, **Projekt graf. stron środkowych:** Jacek Bakanowski, **Przygotowanie do druku:** Małgorzata Fryza, **Druk:** POLAN Jędrzej Kowalski, Głina k/Otwocka, ul. Lubelska 2, 05-430 Celestynów

Marcin Wolski

Moja okolica.



Zaczarowane miejsca, małe ojczyzny. Moją, z trudem można wpasować w granice administracyjne. Mieści się w niej Anin, Wawer, Marysin, Międzylesie, łąki między Zastowem a Lasem, (na których spędziłem mnóstwo czasu jako wagarowicz) Gocław i Gocławek... Kolejno świat dziecka, uczniaka, młodego mężczyzny, autora....

Tu działy się rzeczy dla mnie najważniejsze, tu były moje szkoły – podstawówka na Minerskiej, której już nie ma, prywatna szkoła sióstr Felicjanek, ogólniak na Kajki, później na Alpejskiej. Moja parafia, cmentarz z grobami bliskich, wspomnienia, uczucia, inspiracje.

Opisałem ten pejzaż widziany z lotu ptaka w „Miejscu dla dwojga” gdy dusza mego bohatera pozbawionego ciała szybuje nad swoją rodzinną okolicą. W drewniaku wzniesionym w stylu świdermajer umieściłem inicjację erotyczną Adama Szareckiego bohatera „Bogów jak ludzi”. Na pobliskim Grochowie, na poddaszu zaadaptowanym na studio muzyczne Maciek Podlaski, narrator „Nieprawego łoża” kochał się ze swoją uczennicą Martą, nieświadomy że 35 lat wcześniej na wawerskich łąkach, w pierwszym dniu powstania warszawskiego jego autentyczny ojciec AK-owiec Maciej Kamienicki zabił jego „ojca nominalnego” czyli komunistycznego bojówkarza Eugeniusza Podlaskiego, a na skraju rezerwatu im. Króla Jana Sobieskiego Sowietci pozorowali śmiertelny wypadek jego matki – Róży. Również tu zachodzi na cmentarz na Glinkach, prowadzić monologi ze swym przedwcześnie zmarłym kolegą szkolnym. Z kolei w „Nobliście” finałowe sceny umieszczam w domku letniskowym nad Świdrem, na stacji benzynowej za Starą Miłosną, i w ukrytej gdzieś w okolicznych lasach rezydencji medialnego oligarchy a przy okazji agenta KGB... Zaś w trzecim tomie cyklu „Trylogia Optymistyczna”, zatytułowanym – „Kaprys historii” cofając się do lat 20 w karczmie Wawer (obecnym Motelu Napoleon) doprowadzam do śmiertelnej potyczki białogwardzisty Olega Dobrolubowa, z wysłanymi w ślad za nim siepaczami.

Ale nie koniec z „anininianami” i „wawernikami” w moich powieściach. Jedną z zabawniejszych scen „Alterlandu” ulokowałem w latach 60 w rejonie góry Delmaka. W optymistycznym wariacie historii, w której Polska jest suwerennym mocarstwem, działa tam letni teatrzyk – występują gwiazdy Międzywojnia z pospołu z artystami którzy zadebiutowali po wojnie, tyle, że nie w PRL-u bo taki nie powstał. Jarosy prowadzi konferansjerkę z Wiktorczykiem, a Mrozek jest tam kelnerem.

W „Ekspiacji” w której ksiądz i małolata stawiają czoła pogrobowcom PRL-u, sensacyjna akcja rozpoczyna się zabójstwem proboszcza w wiejskim kościełku, bardzo podobnym do urokliwej drewnianej świątynki w Miłosnej. Następnie wartka akcja toczy się na Marysinie i Wygodzie. Gdzieś w Aninie ma willę szlachetny opozycjonista a w istocie Tajny Współpracownik SB i jej pogrobowców – Artur Liwski...

Pisze się zazwyczaj o tym co się zna. Lubi bądź nie – nawidzi. Bohaterowie moich kilkudziesięciu książek przemierzają cały świat przy czym nie jest dla nich przeszkodą czas teraźniejszy, jednak najchętniej wracają właśnie tu. Jak Marek Kazimierzak, bohater „Antybaśni” i „Włóczęgów czasoprzestrzeni”, którego mieszkanie stanowi syntezę domu wzniesionego przez mego dziadka w kolonii tramwajarzy i samotnej kamienicy na Gocławku, kiedyś stojącej w szczerym polu, a obecnie utopionej w pawilonach na Gocławku. Właśnie tam jest magiczny narożny pokój i wjazd do alternatywnych światów.

Nawet kiedy umieszczam moich bohaterów w innych podwarszawskich osiedlach, nikogo nie powinno to zmylić, jeśli pociągnie dobrze nosem poczuje się zapach anińskich sosen, woń świeżo skoszonej trawy na łąkach, na których w moich czasach pały się krowy, żyły bażanty, a nad ich głowami przelatywały samoloty startujące z lotniska na Gocławiu, po którym ślad pozostał jedynie w „lotniczych” nazwach ulic.

Najwięcej tych klimatów jak dotąd umieściłem w „Drugim życiu” opowieści o dzieciństwie i starości, która się dopiero okaże. I wprawdzie teoretycznie dom mego bohatera znajduje się w Falenicy (ale nadal w administracyjnych granicach dzielnicy Wawer) ale jest to Falenica wymyślona, która równie dobrze mogłaby być Radością, Międzylesiem, lub Aninem właśnie.

Przeżyłem tu blisko 60 lat. Nigdy nie korciło mnie żeby emigrować, a przeprowadzać się? Po roku spędzonym w centrum Warszawy w betonowym bloku, mój organizm zaprotestował i zacząłem chorować. Wróciłem na stare śmiecie. I w prawdzie objechałem już kilkakrotnie kulę ziemską zwiedzając blisko setkę krajów, tak naprawdę pokonałem około 20 metrów. Tyle bowiem dzieli dom mego dzieciństwa, od tego który zbudowałem dla siebie. Obok starej morwy. Przed wojna był tu inny domek, trafiony jedną z pierwszych bomb, które we wrześniu 39 roku spadły na Wawer. Ale podobno najbezpieczniej jest w leju po bombie. Więc zaryzykowałem.

BIURKO

Biurko, mebel skrzyniowy powstały z połączenia pulpitu, stołu i komody...

(Encyklopedia Gazety Wyborczej)

To nie jest takie zwykłe biurko, ono ma duszę. Stworzone zostało bowiem przez niezwykłego stolarza z wydm marysińskich w czasach, kiedy właściwie brakowało wszystkiego. Stylem osadzone jest gdzieś w latach 30-50 dwudziestego wieku. „Szyte na miarę” z przeznaczeniem dla mojej o pięć lat starszej siostry, klejone z desek cudem wyrwanych z tartaku, klejem, przygotowanym w tajemniczy sposób. Wykończone kawałkami forniru, normalnie in-tarsja! Biurko zaświadcza sobą o ciężkich czasach, w jakich się rodziło. Pośrodku, pod blatem, duża, głęboka szuflada, mogąca zmieścić spory tornister. Lewe drzwiczki kryją cztery szuflady. Za prawymi półka dzieli przestrzeń na pół.

Z tej prawej części, we wczesnych latach istnienia mebla, chętnie korzystaliśmy z bratem. Nie trzymaliśmy tam dokumentów. Chowaliśmy się tam przed sobą w trakcie gry w chowanego. Wystarczyło wyjąć półkę i schowek był pierwsza klasa. Kiedyś nawet zmieściliśmy się tam obaj, ale tego dokładnie nie pamiętam, bo widocznie szybko zabrakło nam tlenu...

Biurko miało nie tylko wygląd solidny, ale i solidną wagę. Jeśli raz gdzieś zaparkowało, szybko nie zmieniał swego miejsca. Konstrukcja domowych podłóg wymagała stawiania ciężkich mebli na obrzeżach, przy ścianach. Inne ustawienie prowokowało katastrofę budowlaną. Na biurku stawały różne przedmioty: adapter Bambino, magnetofon szpulowy Tesla, pojemnik na pisaki z pięknego, starego szkła, lampka, no i telefon. Ten ostatni pojawił się u nas jako jeden z niewielu

w okolicy. Być może dzięki temu, że na przeciwko mieszkała dyrektorka MSZ i telefonia jakoś musiała usprawiedliwić przeciągnięcie linii do niej, gdzieś daleko od głównego szlaku. Telefon stał na biurku. Czarny, poważny, dystyngowany. Jak zadzwonił, to stawiał na baczność wszystkich domowników.

- Halo!

- Kto mówi?!

- Ja!

Pod nieobecność dorosłych wydzwanialiśmy w przypadkowe miejsca, wymyślając żarty, które przede wszystkim bawiły nas.

- Pan Zająć? Piw! Paw!

Trafił się kiedyś starszy człowiek, któremu podaliśmy słuchawkę z połączoną zegarynką:

- Piętnasta zero osiem...

- Ależ proszę pani, ja pani nie znam...

- Piętnasta zero dziewięć...

- Dlaczego pani się upiera...?

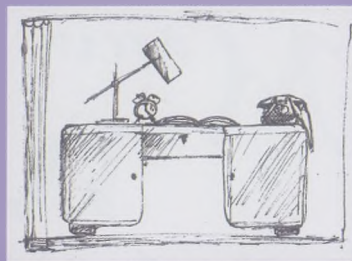
Oj, śmiechu z tego dziadka było na całą okolicę.

W czasach pojawienia się telefonu nasz dom stał się budką telefoniczną, a biurko stanowiło jej centrum. Nasłuchiwało się ono różnych – spraw od ślubów, porodów po zgony.

Z czasem biurko przeszło w posiadanie brata. Kiedy i on z niego wyrósł, rozsiadłem się przy nim ja. Przytrafiło mi się to szczęście gdzieś w środku podstawówki.

Porządek musiał być. Położyłem na blacie zdobyczną, wypucowaną szybę grubości 4 milimetrów, a pod nią zacząłem tworzyć collage, zmieniając tematykę wraz z upływem lat. Najpierw gościły tam wycinanki z Na przełaj, Dookoła Świata, Młodego Technika, aż wreszcie z Ekranu i z Filmu.

Kiedy zniknęły kreskówki, zwierzątka, samochody, pociągi, zespoły bitowe, a pokazały się aktorki, to okazało się, że ilość miejsca pod szybą jest ograniczona. Ratowały



mnie skąpo ubrane modelki, aż w wyniku nowatorskich poszukiwań, w celu maksymalnego zaoszczędzenia miejsca, przeszedłem do form całkowicie pozbawionych odzieży... Po każdej wywiadówce moje Okno na Świat ulegało totalnej degradacji. Skrętnie wycięte modelki płonęły ze wstydu w piecu przy nieodpartym argumentie, że mnie ta tematyka najwyraźniej rozprasza.

A którego z facetów nie rozprasa? W tym wypadku wydaje mi się, że „opatrzenie” w ogóle nie wchodzi w grę.

Z czasem zauważyłem piękne kobiece ciała jako tematy przewodnie rozmaitych dzieł sztuki. I tu po raz pierwszy w moim życiu zapalałem sympatią do waz czarno i czerwono-figurowych. Przebrnąłem przez czasy greckie, włoski renesans, skupiłem się na Rubensie, Velazquezie i wreszcie Picassie. Przyzwolenie rodziców na moje coraz śmielsze zainteresowanie sztuką wzięło się chyba z tego, że wizytujący nas po kolędzie proboszcz, na widok wyrzykowych dzieł, cmoknął i z wyraźnym zaangażowaniem stwierdził:

- No, syn to rośnie na artystę...

Chwila okazała się przełomowa w historii mojego biurka. Stało się ono oazą sztuki zapelniając swe wnętrza różnego rodzaju wydawnictwami albumowymi. Przy nim poznałem kreskę Ingres'a, cierpliwie ją kopiując. Przy nim czytałem, pisałem, wycinałem, a nawet drzemałem, wypełniony tajemnicą sztuki po brzegi. Mebel stał się niemy świadkiem pogłębiania moich zainteresowań. Niemy, to może

przesada, bo potrafił wydawać z siebie dźwięki wyjątkowe, szczególnie w czasach, kiedy zamki odmawiały posłuszeństwa, a drzwiczki domykałem na grubo złożony papier. Wrota skrzypiały, a szuflady po zbyt nerwowym sprzątaniu i takiej samej obsłudze potrafiły grzechotać jak postne kołatki.

W latach sześćdziesiątych, w kraju prawie całkowicie zamkniętym, wykorzystałem nabyte umiejętności. Reperując starawe zamki doprowadziłem do tego, że i moje biurko stało się obiektem ściśle tajnym. Klucz trzymałem zawsze przy sobie. Pewnego razu mebel dosięgły repesje UB, czy jakiejś podobnej organizacji do spraw gospodarczych. Ponieważ mój ojciec reprezentował pogardzany sektor prywatny, często w celach statystycznych miał zliczany dobytek. Wracając ze szkoły natknąłem się na dwóch dziwnych mężczyzn, idących w przeciwnym kierunku. Ubrani byli w skórzane płaszcze i kapelusze. Wyglądali jak bliźniaki. W domu okazało się, że byli naszymi gośćmi. W poszukiwaniu rozwiązania jakiejś afery przeszukali całe nasze gospodarstwo. Przewietrzyli nawet kilkutonowy skład koksu. Niezadowoleni z wyniku poszukiwań, zatrzymali się przy mojej historii sztuki, zastygli chwilę w ukontentowaniu i po paru minutach, przystąpili do drzwiczek, ale jedno z nich okazało się „pancernie” zamknięte.

- Co tam jest?! Gdzie klucz!?

- To biurko syna. Widocznie ma klucz przy sobie. Jest w szkole.

Próbowali się włamać. Jeden z nich złamał nawet swój ukochany scyzoryk Gerlacha, którym obdarował go Dziadek Mróz. Starali się włamać siłą woli, przekonani, że w środku zamknięta jest tajemnica, która obciąży nie tylko gospoda-

rzy, ale i mieszkańców ulicy, osiedla, miasta, kraju, Europy, świata, a może nawet Kosmosu...

Szczęśliwie zadzwonił telefon. Jeden z nich odebrał. Ze słuchawki sączył się krzyk, żeby natychmiast wracali do biura, by zdać raport, podpisać protokół i listę obecności!

Zniknęli tak szybko, jak się pojawili, a mijając mnie na ulicy, pewnie nawet nie pomyśleli, że idzie klucz od wielkiej tajemnicy. W uszach mieli nakaz powrotu do bazy.

Stałem w drzwiach zdziwiony pobojowiskiem.

- Grzebali absolutnie wszędzie. Dobrze, że dopiero przyszedłeś, bo pewnie i ciebie by przeszukali...

Parę dni później zajechała przed nasz dom czarna Wołga.

- Znów będą grzebać!

Okazało się jednak, że to ktoś inny. Ponieważ mój ojciec był bardzo dobrym czapnikiem i jego dzieła gościły w większości kultowych filmów, to generalicja ówczesnych czasów, przy każdym swoim awansie pojawiała się u niego z zamówieniem. Tym razem na zdjęcie miary przyjechali do naszego domu. Ufff... strach minął.

Mama nie musiała otwierać kolejnych skrytek, tylko parzyła kawę i dzieliła właśnie upieczoną dla domowników szarlotkę. Goście w pewnym momencie zostali sami. Byłem w pokoju obok. Po dźwiękach mojego biurka domyśliłem się, że grzebią. Cóż, awans awansem, a przyzwyczajenie przyzwyczajeniem. Uspokoił się na dźwięk niesionej kawy. Zajęli grzecznie pozycje wyczekujące. Ojciec zanotował ich stopnie i miary. Oni zjedli, wypili i się oddalili.

Biurko zmieniło pokój i wygląd razem z mną. Przybrało radośniejszą powierzchowność dzięki namiastkom kapitalizmu, czyli naklejkom

Coca Coli i Marlboro. Ostatecznie zaczęło przecież służyć dorosłemu już facetowi. Facet zmuszony do porzucenia „hipisowskich” nawyków, oddał się służbie wojskowej w Marynarce Wojennej. Biurko na chwilę odetchnęło, ale w czasie urlopów przeobrażało się z powrotem w DJ-owski mebel.

Po odbytej przeze mnie służbie wojskowej biurko trafiło... do pracowni poczynającego ceramika. Telefon dalej był na jego wyposażeniu. Dodatkowo pojawiła się waga laboratoryjna, a szuflady zaczęły zapełniać się dziesiątkami próbek glin i szkliw, przepalanych w piecyku stojącym tuż obok.

Stało się ono miejscem podpisywania moich pierwszych ceramicznych kontraktów, nowatorskich projektów i fetowania „ogromnych” sukcesów.

Wycinankowy świat już na nie nie powrócił. Pojawił się za to skrócony odpis aktu małżeństwa, a chwilę potem dwa – skrócone akty urodzenia.

Rozstaliśmy się. Założyłem pracownię sto metrów obok, i dla niego nie znalazło się już tam miejsca. Czasami dorastające córki zaglądały w czeluście starego biurka znosząc do domu skarby sprzed lat. Ono zatrzymało się w czasie, a ja udałem się w swoje następne dwadzieścia lat.

Niedawno, zbiegiem okoliczności, poznałem córkę projektanta i wykonawcy biurka.

Ten fakt przyczynił się do tego, że usiadłem i napisałem te zdania na temat biurka mego życia.

Aniński collage Barbary Wołodźko-Maziarskiej

Duże wrażenie zrobiło w anińskim środowisku pojawienie się okazałej (zarówno pod względem szaty graficznej jak i ceny) książki Barbary Wołodźko-Maziarskiej pod nieco zagadkowym tytułem „O Starym Aninie – inaczej. Przewodnik towarzysko-historyczny i nie tylko”. Opinie o książce są różne, od entuzjazmu do ocen krytycznych.

Autorka, utalentowana artystka plastyczka, nie szczędząc sił stworzyła swojego rodzaju „collage” ułożony z dawnych i współczesnych fotografii, wycinków gazet, relacji mieszkańców Anina, archiwalnych dokumentów i map – wszystko to powiązane odautorskim tekstem i uporządkowane według pierwotnej numeracji anińskich działek. Niektóre fragmenty książki wyłamują się z tego schematu.

Do książki dołączony jest pięknie wykonany plan Starego Anina, bardzo pomocny przy korzystaniu z książki, a miłośnicy heraldyki z zadowoleniem znajdą wizerunki herbów anińskich rodów szlacheckich.

Przed kilku laty Autorka opisywała początki pracy nad swym dziełem w następujących słowach:

„W 2002 roku w czerwcu na spotkaniu imieninowym naszego kolegi Antoniego Wiwegera, słuchając różnych opowieści i wspomnień z dawnych lat spędzonych przez nas w Aninie postanowiłam odnowić stare przyjaźnie.

Równolegle poznałam nasze lokalne pisemko „Między Nami Aninianinami”, w którym ze wzruszeniem czytałam wspomnienia pisane przez moich rówieśników o Aninie, gdzie upłynęły nam przecież nasze młode lata. Jednak te opowieści były tylko małąkimi wycinkami różnych tematów, ja zaś postanowiłam iść dalej, napisać historię Anina od jego początków do 1945 roku, ale nie tak jak by to uczynił historyk, tylko osoba zwykła, mieszkanka Anina prawie od urodzenia, emocjonalnie związana z tym miejscem.

Taki okres uznałam za możliwy do opanowania.

Konieczność poszukiwania prawdy – buszowanie w starych dokumentach i słuchanie opowieści o czasach dzisiaj zapomnianych, odległych, choć ciekawych i fascynujących to zajęcie niezwykle emocjonujące.

Wydawało mi się, pełnej entuzjazmu i stanowczości, że szybko i w prosty sposób uporam się z zamierzeniami, choć wiele zaprzyjaźnionych osób mówiło mi, że to ciężkie zadanie i praca moja przeciągnie się na parę lat. Niestety oni mieli rację, bowiem w miarę dociekań i poznawania niewiadomych, materiału przybywa i coraz ujawniają się nowe ciekawostki warte opisanie”.

Przytoczony tekst Barbary Wołodźko-Maziarskiej jest fragmentem obszerniejszego tekstu zatytułowanego „A zaczęło się tak...”, który kiedyś od Niej dostałem.

Nie jest zamierzeniem niniejszej recenzji szczegółowe analizowanie zalet i wad książki. Są to pierwsze pisane na gorąco wrażenia. Collage Maziarskiej zawiera prawdziwą perłę, tekst o rodzinie Szumowskich i Sikorów. Wspaniałym pomysłem było zamieszczenie reprodukcji wycinków z dawnych gazet opisujących historię przypominającą losy

J. G. Ballarda przedstawione w jego autobiograficznej książce „Imperium słońca” i w głośnym filmie Stevena Spielberga pod tym samym tytułem. Bardzo mało współczesnych aninian wie, że podobna historia przytrafiła się polskim dzieciom i znalazła swój zaskakujący finał w podwarszawskim (wówczas) Aninie.

W książce można znaleźć wiele mankamentów widocznych na pierwszy rzut oka (choćby dziwnie sformułowane podziękowania, po macoszemu potraktowana bibliografia, częste pomyłki literowe), ale błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi. Na pewno pojawią się utyskiwania, że o jakimś domu rodzinnym napisano za dużo, albo za mało, albo nie tak jakby sobie ktoś życzył.

Jeden zarzut jest poważniejszy. Książka w jej obecnym kształcie nie mogłaby powstać, gdyby nie pomoc (bezinteresowna!) ze strony tych aninian, którzy udostępnili Autorce do dowolnego wykorzystania własne teksty, zasoby archiwalne, wyniki własnych poszukiwań itp. Autorka w zasadzie o tym wspomina, ale jakby mimochodem w tekście książki, a nie w oficjalnych podziękowaniach. W tym miejscu powinno znaleźć się choćby nazwisko Hanny Orkisz, która udostępniła Autorce dawny plan działek Starego Anina. Na jego podstawie opracowany został plan dołączony do książki. To, że Autorka wspomina o tym podstawowym fakcie jedynie w mało widocznym miejscu na 95 stronie książki jest – mówiąc najdelikatniej – poważną niedelikatnością.

Na usprawiedliwienie Autorki dodać można, że ogrom Jej pracy włożonej w badanie anińskiej przeszłości nie zawsze był należycie doceniany. Sam byłem świadkiem, ile wysiłku włożyła Barbara Maziarska w rekonstrukcję planów anińskiego kasyna. Jednak w dniu Zielonego Konstantego w dawnej małej bibliotece przy ulicy Trawiastej, zrekonstruowane plany nie zostały dopuszczone do publicznego pokazania zgromadzonemu. Pewne osoby uznały, że naruszałoby to prawa autorskie zmarłego kilkadziesiąt lat temu architekta.

Reasumując, Autorce należy pogratulować, mimo wszystko, sukcesu.

***Bogumił Wtorkiewicz**

autor recenzji ze strony 8.

Plastyk, karykaturzysta, satyryk, poeta, projektant mody awangardowej. Tworzy w kilku dziedzinach sztuki m.in. poezję oraz modę jako dzieło plastyczne. Ukończył m.in. podyplomowe francusko - polskie Studia Specjalne – Moda i Wzornictwo – na Uniwersytecie Mody w Lyonie i Politechnice Łódzkiej oraz Międzynarodową Szkołę Menedżerów pod auspicjami Unii Europejskiej w Warszawie. Laureat licznych, międzynarodowych wyróżnień i nagród literackich i innych.

Maria E. Chodorek

Bibliografia wg B. Maziarskiej

Wnikliwy czytelnik dziewięciu roczników pisma Między Nami Aninianinami po zapoznaniu się z książką Barbary Wołodźko-Maziarskiej pod tytułem „O Starym Aninie – inaczej”, słusznie może określić wykaz źródłowych materiałów, podanych przez autorkę (str. 310) mianem: Bibliografia – inaczej.

W wykazie tym – starannie skąd inąd wydanej książki – zabrakło wielu pozycji. Ja skoncentrowałam się głównie na MNA, z którego hojnie cytowane są fragmenty wywiadów z mieszkańcami Anina, całe artykuły oraz wykorzystano liczne fotografie. W tekście pani Maziarskiej te materiały są wprowadzone niekiedy opatrzone informacją „przedruk z MNA nr, rok”, lub „repr. z Między Nami Aninianinami” – bez podania numeru, roku. Niektóre zdjęcia z niecodziennika są podpisane jedynie nazwiskiem wykonującego fotografię (przypuszczenie?) bez podania źródła, gdzie były pierwotnie publikowane – chodzi dalej o MNA.

Oto numery stron, na których znalazłam materiały z niecodziennika: str. 36, 40, 48/49, 51, 91, 129, 148, 163, 177, 193, 231.

Kto chce, niech sprawdzi – zapewne znajdzie więcej...

W omawianej bibliografii zabrakło również tytułu pracy Antoniego Gosławskiego, (liczącego 200 stron maszynopisu), którą autor zatytułował „Garść wspomnień o dawnym Aninie”. Kronika stanowi druk zwarty – nie są to enigmatyczne „Wspomnienia, artykuły A. Gosławskiego” jak podaje pani Maziarska; jej książka zawdzięcza wiele tej rzetelnej kronice.

Bibliografia decyduje o wiarygodności pozycji, umożliwia zainteresowanym dalsze poszukiwania i pogłębianie tematu, gdy zachodzi taka potrzeba. To tyle...

red. naczelna MNA

Cecylia Zimna

O księdzu piszącym wiersze

Pełne swoistego wdzięku są wspomnienia Aldony Kraus o jej spotkaniach i rozmowach z ks. J. Twardowskim w wydanej w tym roku książce pod prowokacyjnym tytułem „O wszystkim i o niczym”.

A spotkań tych było wiele. Aldona Kraus poznała poetę w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Bywał u niej w domu – początkowo sporadycznie, z okazji świąt, kolędowania, towarzyszył jej w jej wieczorach autorskich, kibicował twórczości poetki.

A potem... Potem przyjaźń pogłębiła się na tyle, że spędzał u niej kilka ostatnich swoich czerwcowych wakacji. Stąd okazja pani Aldony do rozmów, które swoistym językiem gawędy spróbowała autorka odtworzyć.

Otrzymaliśmy portret ks. Jana Twardowskiego odmalowany przez zauroczoną nim pisarkę – lekarzkę – poetkę. Widzimy ks. Jana w różnych życiowych sytuacjach, czytamy jego opinie o ludziach; zapamiętane przez autorkę.

Książkę wzbogacają liczne fotografie, na których często poeta jest w towarzystwie autorki i jej rodziny.

Gawędy pani Aldony są zapisem tych opowieści o ks. Twardowskim, które wygłaszała na niezliczonych spotkaniach, organizowanych nawet w odległych zakątkach Polski. Były one uprzednio nierzadko publikowane w lokalnych czasopiśmie.

Książka niewątpliwie przyczyni się do wzbogacenia przygotowywanych w przyszłości naukowych opracowań biografii ks. Jana Twardowskiego.

Teresa Szymczak

„Z SERCEM NA TY”

Do zaplanowanego przez redakcję wywiadu z wybitnym kardiologiem, prof. Witoldem Rużyłło, dyrektorem Instytutu Kardiologii w Aninie, przygotowywałam się, jak zwykle: najpierw internet, potem wizyta w bibliotece tegoż Instytutu (kiedy już prof. Rużyłło wyraził zgodę na ewentualną rozmowę). Wszystko wydawało mi się proste – do momentu, gdy dostałam do rąk książkę Janusza Michalaka, będącą jego wywiadem z Profesorem: „Z sercem na Ty. Wywiad – rzeka z prof. Witoldem Rużyłło”.

Książka – śmiało rzec mogę – dwóch znakomitości: profesora, który odpowiada na pytania i dziennikarza, który je zadaje. Specjaliści wysokiej klasy – każdy w swoim zawodzie. Książka jest nie tylko pięknie napisana: jest pięknie wydana z mnóstwem fotografii. I sporo w niej napomknąć o Aninie.

A zatem –

Nikt, komu drogi jest Anin, nie może nie przeczytać tej książki.

Każdy, kto ma serce – nieważne, zdrowe czy chore, powinien sięgnąć po tę niezwykłą opowieść lekarza o jego drodze do obecnej pozycji w światowej kardiologii.

O Profesorze z wywiadu Janusza Michalaka można było dowiedzieć się aż tyle, że – miałyśmy problem...

O czym możemy rozmawiać z Profesorem my, skromne dziennikarki lokalnej gazety? (My – bo rozmowę zaplanowałyśmy odbyć z Martą Wołodko). Obie przestudiowałyśmy „Z sercem na Ty”.

I jednak pokonałyśmy lęk, że – nie sprostamy.

Rozmowa odbędzie się. Pytania są już przygotowane.

Czytajcie następny numer MNA. Będzie wiele informacji nie tylko o Profesorze, o Instytucie anińskim.

Nie samą poezją Anin słynie!

Z sercem na Ty. Wywiad-rzeka
z prof. Witoldem Rużyłło.
Rozmawiał Janusz Michalak
Wydawnictwo Termedia
Poznań 2004
s.198

Orest Pęgierski

Warto czytać książki o Wawrze

Maria Chudoba w artykule „Warto czytać książki o Wawrze” (MNA nr 2 (69) kwiecień-maj-czerwiec 2009) napisała, że publikacja „Wawer i jego osiedla” stanowi kontynuację pracy Henryka Wierchowskiego „Z dziejów Międzyzlesia”.

Jan Czerniawski w książce „Wawer i jego osiedla” w przedmowie „Od Redaktora” pisze, że naszym pierwotnym zamierzeniem było napisanie dalszego ciągu pracy Henryka Wierchowskiego „Anin Wawer”. Również i w innych publikacjach oraz wypowiedziach można znaleźć potwierdzenie tego założenia.

Ograniczyłem się do komentarza tylko w tej jednej sprawie nie chcąc, żeby utrwaliła się niezgodna z rzeczywistością informacja.

Bogumił Wtorkiewicz*

POEZJA Z PIECA RODEM

Pelen wyjątkowego czaru jest tomik poezji Dariusza Andrzeja Osińskiego „Wiersze gliniane”. Artysta tworzy ceramikę, poezję, opowiadania. Wiersze w tomiku, doskonałym, lekkim językiem humoru opisują ceramikę. Czyta się te utwory tak, jakby słyszało się przeboje muzyczne - lekko wpadające w ucho, do których w nieskończoność można wracać.

Do wierszy Dariusza także.

Książka jest atrakcyjnie wydana pod względem edytorskim. Dobrej jakości papier, krój czcionki duży, czytelny, nie powodujący zmęczenia wzroku podczas czytania. Okładka kartonowa. Na ostatniej stronie zamieszczono zdjęcie autora i notkę biograficzną. Poniżej ładne artystyczne zdjęcie z wypalanej w piecu kopii motocykla Sokół 600 w skali 1:1. Zdjęcie wykonane jest tuż po otwarciu pieca.

Motocykl niczym nieziemski, techniczna zjawia błyska żarem gliny. Motocykl i samo zdjęcie piękne artystycznie. Można odnieść wrażenie, że jest to obraz olejny namalowany przez Caravaggia.

A teraz wydarzenie poetyckie. Podczas imprezy artystycznej Sąsiedzki Piknik na Łące dnia 27 czerwca 2009r. w Warszawie na Ursynowie, jego wiersz „Glinka i Glinek”, został wyrecytowany z podziałem na role. Jak wynika z treści wiersza, były to role żeńska i męska ponieważ - jak mówi narrator

*Niedaleko, tuż za rzeką,
Glinka z Glinkiem piją mleko
i gadają, co tu robić,
żeby z nudów się nie dobić...*

Ja wcieliłem się w rolę Glinka, co mnie usatysfakcjonowało, gdyż naprędce musiałem nauczyć się przeczytania tekstu z odpowiednią intonacją. Naród przybyły na Piknik stwierdził, że poszło mi dobrze. Upiłem się szczęściem.

Na tymże Pikniku Osiński wystawiał swoją ceramikę, atrakcyjną kształtem i wielkością, w sam raz na ozdobienie mieszkania. Jest to dobre posunięcie. Kiedyś było lansowane hasło „Obraz do M-3”, teraz możemy jeszcze dodać „Ceramika do M-3”, a dla zamożnych - do rezydencji. Bajkowy wiersz, w którym wszystko się może zdarzyć, nosi tytuł „Łąka”. Tylko artysta o nieszałonowej wyobraźni może powieć skojarzeń dostrzec, że:

*na mojej łące
garnki tańczące
wazy skrzydlate butle rogate
anioły z gliny
gliniane dziewczyny...*

Ten wiersz rozpoczyna tomik. Może być mottem całego zbioru poetyckiego, gdyż w każdym człowieku, nawet nadrealny świat, żyje. Poeta stwierdza -

*Patrzę do pieca, a tam słońce
i wszystko wokół jest gorące,
muzyka jakaś jakby leci
i coś się w głowie nagle kleci...*

Ty, czytelniku, również możesz dostrzec coś ciekawego w rzeczywistości. Ot, choćby pojękiwanie mokrych kawałków drewna w ognisku czy przysłowiowe iskiereczki ognia, wylatujące ponad ogniem i gasnące w przestrzeni. Rzecz prozaicznie mała, a ciekawa pięknem ognia, ciepła i isker.

Twórca porusza problem także społeczny i psychiczny trapiący każdego człowieka. „Ach, ta praca” to wiersz o pięknych planach i ich miernej realizacji. Autora, mnie i naszych współobywateli początkowa wizja wspaniałych planów rozgrzewa -

*ręce przetarłem,
zdjąłem koszulę*

Ale w sekundę później -

*I coś mi przeszło
i dałem spokój,
i leżę sobie w
ciepłym szlafroku,*

*piwo popijam,
w lampę się gapię...*

W rezultacie tego ogólnego mozołu, potu i szlusznych koncepcji

*A chciałem zrobić
coś konkretnego,
no i nic z tego...*

Jest też mądry filozofią egzystencji człowieka wiersz „Blask”. Człowiek w obliczu trudu, wzniosłości, piękna, szlachetności lub innych problemów musi spojrzeć im w oczy. One na niego także. Wówczas może dojść do konstruktywnego, dobrego rezultatu.

*Kolejny raz zamykam oczy
żeby nie patrzeć w blask
Kolejny raz...*

*A ta ciekawość co mnie toczy
chyba też patrzy w moje oczy*

Jesteśmy twarzą w twarz

To najlepsze rozwiązanie, jeśli promienie człowieczeństwa przenikają się „twarzą w twarz”.

Jak utwór muzyczny napisany od niechcenia, ot taki sekundowy kaprys natchnienia, Osiński zawarł piękno literackie w wierszu „Ulotność”. Utwór napisany jest jakby powieścią techniczną. Chciałem przytoczyć jego fragment a tu, o dziwo!, powstał jeszcze jeden wiersz. W tej sytuacji jest fenomen literacki - z fragmentów wiersza powstał następny wiersz całościowo spójny. Oto ta kompozycja.

*Owiana w obraz
myśl ulotna*

*Ani jej dotknąć
ani ruszyć
bo można zniszczyć
można skruszyć*

Kto ona jest?

Wiersze Dariusza Osińskiego są jak literackie liście humoru porwane wiatrem.. Wirują, tańczą ze sobą. Dariusz ma wysublimowane poczucie humoru. Nadaje swoim wierszom lekkość intelektualną. Należy podziwiać autora, że posiada umiejętność stworzenia doskonałego kształtu dla poezji i ceramiki. Twórca wielokrotnie, jakim jest Osiński ma możliwość kształtowania swojej osobowości artystycznej poprzez przenikanie się różnych rodzajów sztuki. Tomik „Wiersze gliniane” ma odzwierciedlenie w jego twórczości gdyż potrafi -

*Wszystko ulepić,
wszystko napisać,
wszystko powiedzieć ...*

a wszystko to zawarte jest w mocnym postanowieniu w wierszu... „Wszystko”.

Teresa Szymczak

17 września z Markiem Ławrynowiczem

„Czas ucieka – wieczność czeka” – mawiał ojciec Marka Ławrynowicza, na spotkanie z którym spieszliśmy (powoli) z Aniną do Wypożyczalni nr 121 na Żegańskiej. „Nasz dom - biblioteka” jest i tam.



Fot. Beata Lewicka



Fot. Barbara Szpinda

To cytowane na wstępie powiedzonko powtórzyła mi redakcyjna koleżanka, Ela Smykowska, z którą urządziłyśmy sobie prywatną, domową dyskusję przed spotkaniem z autorem. Ela była uczennicą pana Henryka w anińskim liceum. Ja znałam Marka Ł. tylko z

jego książek i drukowanej w MNA opowieści o ojcu.

I tym razem – na spotkaniu – Marek Ławrynowicz mówił wiele o ojcu. Nawiązał do jakże pamiętnej daty – 17 września (właśnie wspomniano ją w mediach); czytał rozdziały ze swojej wydanej w 1998 r. książki (Diabeł na dzwonnicy), poświęconej ojcu, matce, dziadkom – i ich przeżyciom w czasie sowieckiej okupacji Wileńszczyzny.

Dla tych, którzy książki nie znali, było to niezwykle interesujące i – na czasie, bo spotkanie odbywało się 19 września. Ciekawie opowiadał pan Marek o swoich korzeniach, o warsztacie pisarskim (cytuje: „to, co piszę, to fakty, ale trochę przemieszczone w czasie i trochę dopowiedziane”). Mówił o harmonijnym współżyciu kultur różnych narodowości na byłych kresach II RP; o stosunkach polsko-litewskich i problemach Polaków obecnie tam żyjących. Poruszył sprawy bolesne i zmuszające do myślenia – w rezultacie czego



Fot. Beata Lewicka

nasza dyskusja z Elą Smykowską nie skończyła się po spotkaniu.

Jeszcze będziemy o tym wszystkim rozmawiały.

I po to są takie spotkania. Budzą, zmuszają do myślenia.

ANIN W FOTOGRAFII





Pomysł uwiecznienia współczesnej architektury Anina zrodził się przed wielu laty, jeszcze za kadencji poprzedniego Zarządu Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości w Aninie – pod przewodnictwem pani Kariny Stolarskiej. Wiązało się to z planowanymi obchodami 95-lecia Anina. Obchody przesunięto, ale pracę tę podjął się wykonać wiceprezes Zarządu S.W.N. – Krzysztof Brożyna. I wykonał. W rezultacie dysponujemy kilkuset zdjęciami budynków anińskich.

Obecny Zarząd (w składzie: Michał Nowacki, Zofia Górzyńska, Krzysztof Brożyna, Jędrzej Dmowski, Andrzej Olszyński, Renard Lichniak) planuje upowszechnienie tych zdjęć na wystawie zorganizowanej z okazji stulecia Anina.

W naszym osiedlu powstają wciąż nowe budynki, lepiej lub gorzej się prezentujące; Stowarzyszenie planuje kontynuować dokumentowanie architektury Anina...

dowiedziała się T. Szymczak

Muchołówka, kapturnica, dzbanecznik, rosiczka – czy te nazwy wiele mówią przeciętnemu człowiekowi? Raczej nie. Z krążącymi o nich mitami chce walczyć Marek Filipow, który od kilku lat pasjonuje się roślinami owadożernymi.

Skąd dowiedziałeś się o tych nietypowych roślinach?

W Internecie na stronie Allegro znalazłem reklamę sklepu sprzedającego rośliny owadożerne. Zaciekało mnie to. Obejrzałem wszystkie zdjęcia i po namyśle kupiłem kilka muchołówek. Tak zaczęła się moja fascynacja tymi roślinami.

Od czasu do czasu zamawiałem nowe rośliny w sklepie Nepenti (nazwa pochodzi od „Nepenthes”, czyli grupy roślin zwanych dzbanecznikami). Pewnego razu osobiście do niego zajrzałem i poznałem niezwykle sympatycznego właściciela, który pozwolił mi u siebie pracować. W ramach wynagrodzenia dostawałem muchołówki i rosiczki, a przy okazji mogłem się wiele nauczyć. Było to, o ile pamiętam, w 2005 roku.

Z czasem zainteresowałem się również dzbanecznikami. Teraz zajmuję się wszystkimi czterema podstawowymi rodzajami roślin owadożernych, czyli rosiczkami, muchołówkami, dzbanecznikami i kaptownicami.

Czy hodowla roślin owadożernych jest trudna?

Na początku wymaga to trochę pracy. Po kilku latach postanowiłem powiększyć hodowlę, ale moja mama cierpliwie znosi wszelkie przenosiny, przeprowadzki, zmiany w mieszkaniu i przebudowy specjalnych szafek na rośliny. W zeszłym roku zbudowałem ogromne półki, które zajmują dwie ściany w moim pokoju. Początkowo jest to trochę kosztowne, dopóki nie stworzy się koniecznych warunków do hodowli.

Wszystkie rośliny wymagają specjalnego oświetlenia i zmian temperatury, które nie występują w polskim

klimacie. Większość z nich musi przebywać w temperaturze ponad 20°C. Najtrudniejsze w hodowli są górskie dzbaneczniki, ponieważ wymagają spadków temperatury w nocy nawet do 5°C. W naszych warunkach muszę hodować je przy świetłówkach. Przed utratą wymaganej wilgotności – od 60



do 100% – zabezpieczam dzbaneczniki folią.

Ile czasu dojrzewają rośliny owadożerne?

Każdy gatunek dojrzewa w innym czasie. Rosiczki praktycznie od razu mogą wabić małe muszki. Podobnie muchołówki. Za to dzbanecznikom zajmuje to od czterech do pięciu lat, aż dzbanki osiągną odpowiednio duże rozmiary, by móc łowić.

Jak duża jest Twoja hodowla?

Jakiś czas temu liczba roślin wynosiła ponad dwieście gatunków. Obecnie trochę zmalała, ponieważ więcej czasu poświęciłem na przygotowania do matury. Najliczniejszą grupę w mojej hodowli zajmują dzbaneczniki – ponad sto gatunków.

Ile czasu poświęcasz na pielęgnację roślin?

Kiedyś spędzałem nad nimi nawet do kilku godzin dziennie. Wprost nie mogłem się od nich oderwać! Teraz podlewam je tylko wieczorem około piętnastu minut, a co jakiś czas je przesadzam.

Czy każdy jest w stanie zajmować się tymi roślinami? Mogłbyś zostawić je komuś pod opiekę?

Oczywiście, to bardzo proste. Na przykład rosiczkom i muchołówkom należy tylko wlewać wodę do podstaw-

ki. Jedyne dzbaneczniki trzeba podlewać każdy osobno. Wprawdzie dobrze czują się one w bardzo wilgotnym powietrzu, ale już podłoże nie powinno zawierać zbyt wiele wody.

Czy to prawda, że taka roślina jest w stanie strawić nawet szczura?

To dotyczy tylko gatunków większych dzbaneczników. Szczur, zwabiony zapachem rozkładających się owadów, wchodzi do dzbanka i utyka w nim, ponieważ nie może się z niego już wydostać. W taki sposób sam zaczyna być trawiony! Dotyczy to także innych małych zwierząt, na przykład ptaków.

Czy planujesz rozwijać hodowlę?

Zamierzam zamówić nowe okazy z Borneo. Chciałbym rozpocząć własną działalność, a także rozpropagować te rośliny w całej Polsce, ponieważ są mało znane, a ich nazwy ludziom nic nie mówią. Istnieje o nich wiele mitów.

Jakie to mity?

Ludzie podejrzewają, że rośliny owadożerne dokarmia się mięsem – parówkami czy bekonem! Oczywiście to też jest białko, ale rośliny same sobie doskonale „radzą”. Niektórzy sądzą, że wydzielają one nieprzyjemny zapach, a także, że osiągają ogromne rozmiary... To wszystko nieprawda! Ponadto rosiczki są często mylone z muchołów-



kami, chociaż tylko muchołówki mają paszcze.

Jak reagują goście, którym pokazujesz rośliny?

Zawsze są niesamowicie zaskoczeni. Najbardziej podobają im się muchołówki ze względu na błyskawiczny ruch paszczy przy zamykaniu owada w środku.

Opowiedz o rodzajach twoich ulubionych roślin.

Rosiczki są przeważnie niewielkie. Są najbardziej popularne, ponieważ występują na wszystkich kontynentach oprócz Antarktydy. Owadożerność rekompensuje im niedostępność składników odżywczych w bardzo ubogich

wo-wschodniej Azji. Wykształcają one liście oraz dzbankowate twory z wieczkiem napelnione płynem trawiennym. Działają jak pułapki, do których wpadają owady siadające na kołnierzyku dzbanka pokrytego śliską substancją. Wielkość takiego dzbanka dochodzi nawet do kilkadziesięciu centymetrów!

Jeśli chodzi o kapturnice, pochodzą one z Ameryki Północnej. Mają długie liście w kształcie lejka lub dzbanka z wieczkami, którymi chwytają owady. Kapturnice wabią ofiary zapachem i atrakcyjnymi dźwiękami, żółtymi, białymi, zielonymi lub czerwonymi kwiatami przypominającymi kształtem parasol.

Jak wygląda proces „żywienia się” rośliny owadożernej?

W wypadku rosiczki zwabiona ofiara wchodzi na liść i lepka substancja ją unieruchamia. Powoli pułapka się zamyka. Trwa to około trzech godzin. Roślina wydziela kwas mrówkowy, który zaczyna rozpuszczać ciało owada. W ten

glebach, na których rosną. To dotyczy wszystkich roślin owadożernych, dzięki czemu unikają większej konkurencji, która mogłaby im odciąć dostęp do słońca.

Rosiczki wabią swoje ofiary błyszczącymi kroplami słodkiej cieczy, które są wydzielane na szczytach – czułkach porastających powierzchnie liści. Mają one czerwony kolor zwiększający ich atrakcyjność.

Do muchołówek należy tylko jeden gatunek – muchołówka amerykańska, która występuje w naturze wyłącznie w Ameryce Północnej. Jej liście są przekształcone w pułapki, które wabią ofiary słodkim nektarem i czerwonym ubarwieniem. W każdej pułapce jest sześć włosków czuciowych. Gdy ofiara potrafi te włoski, pułapka zamyka się szybciej niż w czasie jednej sekundy! Z tego powodu jest uznawana za najbardziej atrakcyjną.

Kolejnym rodzajem roślin owadożernych są dzbaneczniki – pnące się półkrzewy pochodzące z południo-

sposób uwalniane są cząsteczki białka i wydzielają się enzymy proteolityczne. Miękkie części ciała ofiary zostają strawione, a roślina wchłania powstałą z nich ciecz, która jest bogata w rozmaite substancje odżywcze. Liść otwiera się po strawieniu ofiary, a resztki są roznoszone przez wiatr. Ponowne otwarcie liścia następuje zazwyczaj po dwudziestu czterech godzinach.

Czy rośliny owadożerne występują także w Polsce?

Tak, rosiczki można zobaczyć głównie na torfowiskach. Występują w czterech gatunkach, między innymi: tłustoszy rosnących też przy górskich strumieniach i wodospadach oraz pływaczy żyjących w niewielkich, płytkich jeziorach, stawach i starorzeczach. Czasem



występują w towarzystwie rosiczek. Takie skupisko łatwo można rozpoznać po żółtych kwiatach pływaczy, wystających licznie kilka centymetrów nad powierzchnią wody.

Wszystkie rośliny owadożerne w Polsce i na świecie są chronione, ponieważ obszary ich występowania sukcesywnie się zmniejszają. Człowiek zagospodarowuje nowe tereny, uniemożliwiając przeżycie roślin. Osuszane są bagna i tereny podmokłe, reguluje się rzeki i poziom wody w stawach. Środowisko roślin owadożernych niszczone jest także poprzez nawożenie pól i zaprzestanie koszenia łąk i wypasania zwierząt.



LEKTURY W CZAS CHOROBY

O! choroby majaki –
skąd przychodzą białe ptaki,
zielonych owadów roje
i te sny, co nie moje.

Skąd te myśli niepokojące,
przezroczyście wizje dziwów pełne?

U Leśmiana przeczytałam
czy u Rymkiewicza może,
że za żywopłotem
to już zagranica
tego świata, co słońce
go maluje sokiem jeżynowym
w popołudnia lipcowe.

A tu luty za oknem
ze sroką pod bokiem
i ja w gorączce
ze szklistym wzrokiem.

24.02.2008

DROGOWSKAZ

mojej Mamie

Jeśli szukasz piękna
– poszukaj go w sobie.
Spójrz w głąb swojej duszy
jak patrzy się w lustro.

Gdy wśród ostów i cierni
ujrzesz jeden żywy kwiat
– nie pozwól mu umrzeć
wśród zwątpienia i łez.

Pozwól sobie na Wiarę,
Nadzieję i Miłość.
Zakwitnij uśmiechem
swojej pięknej duszy.

21.09.2008

MÓJ PORTRET?

Naprawdę jaka jestem
nie powie mi lusterko,
ani szkiełko zielone
pieczołowicie schowane
na dnie szkatułki
ze wspomnieniami.

Tego nie wie ten,
który nie został
moją drugą połówką,
ani ta dziewczyna
z rudym kotem
zamiast rękawiczek.

Jeśli rozpoznasz mnie
pomiędzy wierszami,
w fotografii chwili,
albo w światłocieniu,
raczej nie mów nikomu,
bo łatwo się pomylić.

26 II 2008

**LUDWIKA CHOPIN PRZEWOZI
SERCE BRATA**

Czym jest serce? - -
rozmyślała.
Pompą tłoczącą krew?
Siedliskiem wzniosłych uczuć?
Dla anatomów –
ledwie preparatem
w szklanym słoju.

Jego serce było
po trosze tym wszystkim
kiedy tłoczyło krew
kruchymi arteriami
i kiedy kształtował
w dłoniach muzykę.

Najprawdziwsze jednak -
kiedy przekraczało
nakreślone granice.

Ono było kiedy
Jego już nie było...

08.02.2009



Fot. Barbara Szpinda

LATO ODCHODZI

Na horyzoncie
dogasa słońce.

Jutro wstanie dzień
taki sam jak ten

i koniec świata
nie nastąpi - nie.

Tylko my tęsknić
będziemy do tych

szmaragdowych chwil
miodnych letnich dni.

12.09.2008

ODA DO PAJĄKA

pająku, o! omiatany
grzywą miotły ręce,
miotasz się między
nieboskłonem sufitu
a ściany cieniem szorstkim,
pajęcznymi nóżkami
po cichutku wywijasz
i tup-tup-tup bezszelestnie
znikasz w okamgnieniu,
akrobato obrotny, o!

30.12.2008

CO NOWEGO W RADZIE OSIEDLA

Lato dobiega końca, większość z nas wróciła już z wypoczynku i przystąpiła do swoich codziennych obowiązków. Także członkowie Rady Osiedla Anin po przerwie wakacyjnej wznawiają dyżury w siedzibie Rady. Praca w Radzie to nie tylko dyżury i zebrania Rady, ale i kontakt na co dzień z mieszkańcami, i udział w Sesjach Rady Dzielnicy (31.VIII, 7.IX i dwie sesje 15.IX), czy w posiedzeniach Komisji Problemowych Rady Dzielnicy. Wrzesień pod tym względem rozpoczął się bardzo pracowicie.

Wspominam o tym nie bez przyczyny, gdyż XXXIII Sesja Rady z dnia 7 września, była sesją nadzwyczajną i dotyczyła spraw naszego Anina, a konkretnie budowy basenu w Aninie. Na sesji miano udzielić informacji o przebiegu prac na budowie basenu... Było to bardzo ważne spotkanie, gdyż mieszkańcy Anina i nie tylko, interesują się budową basenu i pytają: Jak przebiegają prace przy budowie? Kiedy otwarcie? Takich pytań do członków Rady Osiedla pada więcej, szczególnie po ostatnich artykułach, jakie ukazały się w prasie lokalnej. Rada jest także zainteresowana przebiegiem prac i wszystkim, co jest związane z tą największą inwestycją dzielnicową, jaka została zlokalizowana w naszym Osiedlu. Na te wszystkie pytania mieliśmy poznać odpowiedź na Sesji Rady. Napisałem – mieliśmy poznać, lecz nie poznaliśmy, gdyż Sesja Rady Dzielnicy zaraz po otwarciu obrad została zawieszona – ogłoszono przerwę w Sesji do dnia 12 października. Powodem ogłoszenia przerwy była informacja, że Urząd Dzielnicy czeka na zamówione ekspertyzy.

Informowaliśmy, że będzie remontowana ul. Pazińskiego i utwardzona w technologii destruktu ul. Axentowicza. Te inwestycje są już zrealizowane (ukończenie remontu ul. Pazińskiego z końcem września). Dobiegają także końca prace przy nowych boiskach sportowych i ich otoczeniu na terenie LO przy Alpejskiej. Powstające boiska wielofunkcyjne z nawierzchnią z trawy sztucznej i poliuretanu oraz bieżnia 4 torowa będą nie tylko przyjemne dla oka i funkcjonalne, ale także bezpieczne i przyjazne dla użytkownika. Teraz obydwie szkoły w Aninie posiadają już takie boiska przyszkolne.

To nie koniec dobrych informacji inwestycyjnych dla Anina. Jeszcze w tym roku zostanie utwardzona w technologii destruktu ul. Zorzy między Axentowicza a Pazińskiego oraz zostanie wybudowana ulica i chodnik

wzdłuż ulicy Rzeźbiarskiej, od Pożaryskiego do ul. Szpołańskiego. Dzięki tej inwestycji cała już ulica Rzeźbiarska będzie utwardzona.

Niestety, nie ominęły także naszego Osiedla ciężkie budżetowe, co znalazło odzwierciedlenie w inwestycjach. W tym roku miała być zakończona budowa ul. Bosmańskiej i kontynuowana budowa ul. III Poprzecznej oraz rozpoczęta budowa ul. I Poprzecznej. Wszystkie te inwestycje zostały przesunięte na rok następny.

Jak już chyba wszyscy mieszkańcy Anina wiedzą, zapowiadana przez ZTM reforma komunikacji wawerskiej na wrzesień nie zostanie wprowadzona. Autobus 115, który miał być wycofany z Anina, dalej będzie obsługiwać nasze Osiedle. Za pośrednictwem MNA chcę podziękować wszystkim mieszkańcom, którzy swoim podpisem poparli petycję Rady Osiedla w sprawie zmieniania trasy tej linii. Rada zebrała 719 podpisów pod petycją, która potem została przekazana do ZTM, Urzędu Dzielnicy oraz ze specjalną prośbą – do Pani Prezydent Warszawy.

Na koniec kilka informacji, które zainteresują naszych mieszkańców. Jest możliwość uzyskania dofinansowania prac związanych z likwidacją wyrobów zawierających azbest. Wnioski o dofinansowanie tych prac można składać przez cały rok w BOŚ m.st. Warszawy. Istnieje także możliwość likwidacji zbiorników bezodpływowych (szamb) i uzyskania w związku z tym dofinansowania. Wnioski należy składać w terminie od 1 września do 15 grudnia w 2009 roku. Obydwa wnioski należy złożyć w BOŚ m.st. Warszawy, Pl. Starynkiewicza 7/9. Bliższe informacje pod numerem telefonu (022) 257 91 11.

Natomiast w każdą sobotę listopada będą odbierane nieodpłatnie w workach po wcześniejszym zgłoszeniu w Wydziale Ochrony Środowiska Urzędu Dzielnicy odpady roślinne-liście. Zgłoszenia pod telefonem (022) 516-42-74.

Jak drodzy czytelnicy widziecie, tych różnych spraw pomimo okresu wakacyjnego zebrało się sporo, a poruszyłem tylko te najistotniejsze.

Na zakończenie dziękuję zawsze gościnnej redakcji MNA za możliwość zamieszczenia kilku informacji.

Antoni Gosławski mieszkał w naszym Osiedlu z liczną rodziną w willi Batorówka – z datą 1911 widoczną do dziś na jej ścianie od ulicy Rzeźbiarskiej.

Z okazji obchodów 25-lecia Anina wygłosił w 1935r. w kasynie referat o historii Osiedla.

W 1936r. był inicjatorem i współautorem humorystyczno – satyrycznej jednodniówki p.t. „Kolka Anińska”. To on, nie Zaruba, wykonał rysunek na pierwszej stronie Kolki...

Determinacja projektodawców i kłopoty z wydaniem (jednego tylko numeru!) pisemka, są redakcji MNA bardzo bliskie i dobrze znane. W końcu nie tak wiele się zmieniło przez te 73 lata...

Maria E. Chodorek

KOLKA ANIŃSKA

W pewnym sensie wydarzeniem kulturalnym, choć tylko efemerycznym, było ukazanie się w Aninie jednodniówki humorystyczno – satyrycznej p.t. „Kolka Anińska”.

W 1936r. będąc kiedyś w kasynie na dancingu poznałem przemiłego człowieka, sąsiada zza toru kolejowego, pana Romualda Słowikowskiego. Był to niewysoki, bardzo wytworny, z lekka szpakowaty starszy pan. Z zawodu dziennikarz, humorysta. Pracował ostatnio w Ambasadzie Francuskiej w Warszawie. Pan Słowikowski był czarującym kozerem, olśniewał po prostu wspaniałym humorem i wytwornym dowcipem. Ponieważ w dniu tym byłem również doskonale usposobiony, prowadziliśmy więc pod czarną kawę i „cherry brandy” wesołą, przetkaną dowcipami na temat Anina i jego mieszkańców rozmowę. Po którejś tam już kolejce pan Słowikowski nagle zaproponował: „a może byśmy tak coś wspólnie o Aninie napisali i wydali jako jednodniówkę humorystyczną?”. Zgodziłem się pod warunkiem, że musi to być coś bardzo dobrego, udanego, w przeciwnym razie nie my, ale nas wyśmieją. Po dłuższej, już poważ-

nej rozmowie na ten temat postanowiliśmy zwrócić się do wspaniałego satyryka i humorysty, Jerzego Zaruby, z którym łączyły, szczególnie mnie, przyjemne i zażyłe stosunki, z prośbą o współpracę.

Po dwóch tygodniach przygotowaliśmy materiał pod dostatkiem. Z pełną teczką próbek udaliśmy się do Zaruby. Wybitny karykaturzysta przyjął nas, jak zwykle gościnnie wermutem, do koncepcji jednodniówki odniósł się życzliwie, z uwagi jednak na nawał pracy zawodowej, współpracę ograniczył do jednego lub dwóch rysunków satyrycznych no i rad i wskazówek.

Przeniesiony materiał uznał za dobry, wyraził jednak obawę, czy zbyt ostra w niektórych utworach satyra (zwłaszcza w moim felietonie p.t. „ZOO Anina”) nie wywoła dla autorów jednodniówki nieprzyjemnej reakcji ze strony poszkodowanych. Radził ostrze satyry złagodzić, materiał trochę przerobić.

Zaruba przyzwyczajony do satyry na wielkich wodach bał się po prostu partykularza, za jaki po cichu uważał Anin. Utrzymywał tu dość rozległe stosunki towarzyskie, znał dobrze ludzi, ich słabości, ambicje i uczulenia, chciał więc uniknąć jako członek komitetu redakcyjnego rozgoryczeń, niechęci, obrażania się ze strony tych ludzi po ukazaniu się jednodniówki. Nie bardzo nam to odpowiadało, bo uważaliśmy, że materiał jest dobry, że ostra satyra jest potrzebna i że ona będzie stanowić o powodzeniu jednodniówki. Musieliśmy się jednak liczyć ze zdaniem Zaruby, zwłaszcza, że zależało nam bardzo na jego współpracy. Udział Zaruby niewątpliwie dodawał splendoru wydawnictwu i czynił je bardziej atrakcyjnym. W rezultacie uzgodniliśmy, że materiał zostanie przerobiony i że za miesiąc spotkamy się u Zaruby.

Nastręczały się jednak nowe kłopoty, strona finansowa wydaw-

nictwa. Nikt z nas dwóch, a tym bardziej Zaruba, nie miał ochoty angażować się finansowo.

Dawaliśmy materiał, bezinteresowną pracę, ale kosztów wydawnictwa nie chcieliśmy pokrywać. Trzeba się było uciec do ogłoszeń i na nich oprzeć „finanse” pisma. Tutaj niezastąpionym okazał się pan Romuald. W stosunkowo krótkim czasie przy niewielkiej pomocy z mojej strony udało mu się zebrać od miejscowych właścicieli sklepów tyle ogłoszeń, że mogły one pokryć cały koszt wydawnictwa. Postanowiliśmy wydać 300 egzemplarzy jednodniówki. Czysty dochód ze sprzedaży wydawnictwa przeznaczyliśmy w uzgodnieniu z Zarubą całkowicie na bibliotekę Towarzystwa Przyjaciół Anina. Odbyło się kilka posiedzeń komitetu redakcyjnego, w wyniku których materiał kilkakrotnie był przerobiony.

Po tych konsultacjach satyra została mocno stępiona. Przed samym oddaniem jednodniówki do druku powstała nowa trudność. Chodziło o czołowy rysunek „Kolki Anińskiej”, bo tak postanowiliśmy na wniosek pana Słowikowskiego nazwać naszą jednodniówkę. Jako że Anin był osiedlem leśnym, pokrytym sosnami, a więc drzewami iglastymi. Igły albo, mówiąc pospolicie kolki, sypały się z sosen i pokrywały całe osiedle. Taką jedną kolką postanowiliśmy ukłuć mieszkańców i działaczy Anina.

Ale wracam do rysunku na pierwszej stronie. Ofiarowane przez Zarubę dwa rysunki satyryczne były świetne. Ośmieszały pewne ujemne strony życia naszej młodzieży, ale nie kwalifikowały się na pierwszą stronę. Zresztą Zaruba nie chcąc za bardzo firmować jednodniówki, zastrzegł się przeciwko temu. Trzeba było więc na to jakoś zaradzić. Czasu było mało, bo ustalony termin druku nadchodził, a drukarnia, która zgodziła się drukować z dużą

bonifikatą dzięki stosunkom, jakie tam miał pan Słowikowski, chciała się szybko załatwić z naszym zamówieniem. Wtenczas przypomniałem sobie, że będąc jeszcze uczniem rysowałem i że przez dwa lata w godzinach wieczornych uczęszczałem do wieczorowej szkoły rysunkowej i malarskiej przy ul. Wierzbowej, która mieściła się tuż za restauracją „Oaza”. Niestety, po maturze nie wróciłem do szkoły malarskiej, pociąg do rysunku pozostał mi jednak na całe życie, po dłuższych nawet przerwach czuję potrzebę rysowania i malowania.

Otóż postanowiliśmy z panem Słowikowskim, że czołowy rysunek do „Kolki” wykonam ja. Kiedy po kilku dniach przyszedł do mnie, rysunek był gotowy w tuszu. Posiadał tytuł: „Kasyno anińskie w roku jubileuszowym 1960” i wyobrażał mocno zdeformowany budynek kasyna, podtrzymywany podporami przed zawaleniem. Obok kasyna kilka sylwetek stojących lub leżących pijaków, porozrzucane butelki po wódce i pieńki pościnanych sosien.

Na całość numeru składał się materiał dosyć obfity. Obok trzech rysunków, o których już wspomniałem, zawierał wiersze, felietony, epigramaty, notatki, przegląd bibliograficzny itp. Na czoło materiału wysuwał się felieton pióra pana Słowikowskiego p.t. „Paryż-Anin”, pełen subtelного humoru, błyskotliwych i w których pod postacią zwierząt dotknął różnych przywar społeczności anińskiej.

Satyra w „kolce” kłuła skłócone organizacje społeczne, niedokończone w budowie kasyno, śpiączkę kulturalną miejscowego społeczeństwa, plotkarstwo mocno rozwinięte oraz młodzież za jej zdarzające się wysoki. Dostało się też pocziwemu staroświeckiemu samowarkowi – kolejce dojazdowej, administracji gminnej za ciemności i fatalne dro-

gi w Wawrze i Zastowie, kolei elektrycznej za opieszałość w budowie przystanku kolejowego w Aninie, na co mieszkańcy naszego osiedla wpłacili duże sumy oraz administracji dobra Branickiego za wyrąb lasu („tam był las piękny i przyroda szczerza, ale wszystko to zmiotła hrabiowska Fukiera”).

Aby się asekurować przed ewentualnymi nieprzyjemnościami na czołowej stronie jednodniówki umieściliśmy wielkimi literami wypisane motto: „gdy się na kimś złośliwość satyryka skupi, mądry się roześmieje, obrazi zaś głupi”.

Po ustaleniu kolejności cały materiał przeznaczony do pierwszego numeru jednodniówki został skierowany do drukarni. Po kilku tygodniach, w czasie których musieliśmy robić trzykrotną korektę numeru, cały nakład był gotowy.

Odetchnęliśmy, kilkumiesięczny trud i kłopoty mieliśmy już poza sobą. Pozostał już tylko kolportaż, który zlecieliśmy „Ruchowi”. Jednodniówki szybko się rozchodziły, treść przyjęto na ogół spokojnie, ludzie czytali i śmiali się, każdy chciał być mądry. Wiele osób wyrażało nawet zdanie, że satyra powinna być mocniejsza, oczywiście mówiły to osoby, które nie czuły na sobie dotknięć satyry.

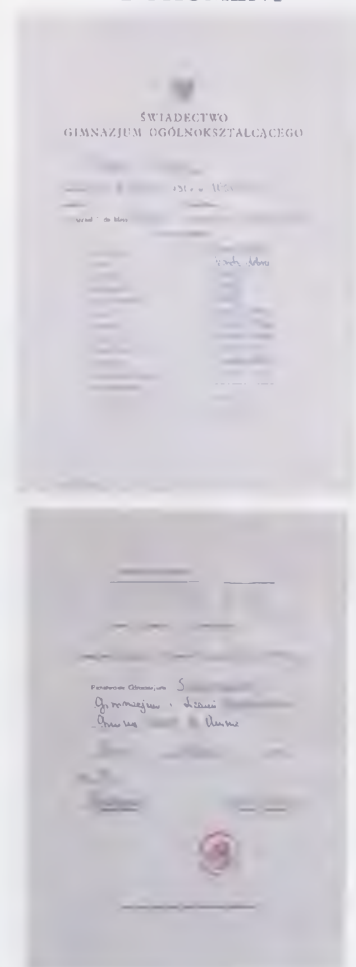
Po dwóch tygodniach został zrobiony rozrachunek z „Ruchem”. Sprzedano 200 egzemplarzy. Po potrąceniu należności „Ruchu” za kolportaż wypłacono nam 60zł, które przekazaliśmy Bibliotece TPA na zakup nowych książek (należy zaznaczyć, że złotówka przedwojenna miała swoją wysoką wartość, można było za tę sumę zakupić sporo książek).

Jednodniówka nie wyczerpała całego materiału satyrycznego przez nas przygotowanego. Reszta uzupełniona nowym materiałem miała ukazać się w następnym numerze. Materiał był dobry i zawie-

rał ostrzejszą satyrę. Niestety nie wyszedł w postaci nowego numeru, ponieważ zbieranie ogłoszeń szło tym razem bardzo opornie. Musieliśmy więc wydanie nowego numeru odroczyć na czas bliżej nieokreślony, a posiadane materiały, aby „nie wietrzały” przekazaliśmy częściowo do miesięcznika „Na straży”, który zamieszczał je w kilku numerach oraz częściowo w sekcji dramatycznej Koła Młodych przy TPA, która zrobiła z tego rewiew na scenie anińskiego kasyna. Rewia była bardzo przychylnie przyjęta przez publiczność, ale o tym będzie wzmianka dalej przy omawianiu sprawy młodzieży w Aninie w latach przedwojennych.

Na podst. maszynopisu Antoniego Gosławskiego (1905 – 1990) p.t. „Garść wspomnień o dawnym Aninie”.

DOKUMENT



Podpis Wandy Dewitzowej jako dyrektora szkoły średniej w Aninie.
Kopia w Izbie Pamięci w LO XXVI.

Jak ONI to robią?

czyli

podglądanie PODKOWY LEŚNEJ



Zaproszenie na piąty już Festiwal Otwarte Ogrody otrzymałam dwa tygodnie przed jego początkiem. Eleganckie zaproszenie – z podpisem burmistrza Podkowy,

Andrzeja Kościelnego, wsparte było przez najlepiej mi znaną osobę z tego miasta-ogrodu, BALTAZARA. Przesłał mi swoją najnowszą książkę (za pośrednictwem Centrum Kultury i Inicjatyw Obywatelskich w Podkowie Leśnej), dając mi tym samym jakby do zrozumienia, że może – tym razem poznam go osobiście, nie tylko z lektur jego książek.

Ale mimo tej obiecującej perspektywy nie wybierałam się na żadną z imprez podkowińskich Europejskich Dni Dziedzictwa, bo odległość Anina od Podkowy jest dla mnie zbyt trudna do pokonania bez samochodu, którym – co oczywiste – redakcja nie dysponuje.

O tym, że znalazłam się tam jednak w niedzielę (ostatni dzień trzydniowego festiwalu o bogatym repertuarze) zdecydowali miłośnicy-przyjaciele Anina. Przygotowując się do organizacji stulecia naszego osiedla, podglądają wszystko, co ciekawe, żeby dobre wzory przenieść na własny teren. A że słyszeli o tych OTWARTYCH OGRODACH, organizowanych już nie tylko w Podkowie, ale i w pobliskim Józefowie (z ust pani Beaty L.) – postanowili zorganizować wywiadowczy wyjazd. Znalazł się i samochód, i cierpliwy jego kierowca.

Ranek 13 września. Podkowa. Miasto – ogród. Domy zanurzone w zieleni, lasy, zamienione w parki. Porządne ulice. Klimat jakże inny niż w podobnym z pozoru Aninie. Nie zauważamy płotów z betonu, ogrodzonych szczelnie rezydencji. Urocze, zadbane stare domy zdają się mówić – nie wstydzimy się swego wieku.

Trafiamy do jednego z punktów informacyjnych Festiwalu. Niestety, ciekawe imprezy i spotkania odbywały się już w piątek i sobotę; był na nich prof. Tyszka (zaprzyjaźniony z Aninem, troszkę przeze mnie, troszkę przez Aldonę Kraus), jeden z inicjatorów Festiwalu. Miałam nadzieję przez niego dotrzeć wreszcie do BALTAZARA. Za późno przyjechałam.

...
Zaopatrzeni w materiały informacyjne z dokładnym planem miasta ruszamy obejrzeć „na żywo” otwarte ogrody.

Przed pierwszym, do którego docieramy, stoi już gromada widzów, oczekując jego otwarcia, zapowiedzianego na 13:00. Czekamy więc chwilę, rozmawiamy z jedną z organizatorek, Ewą Domaradzką, która obiecuje w najbliższym czasie zdradzić nam „tajemnice od kuchni, jak oni to robią”.

Szykuje się pokaz mody, jego twórczyni chwali Ksenię Z. za dobór kolorów w jej kreacji (zazdrościmy Kseni).

Próbujemy herbatę, którą przygotowali gospodarze, właściciele posesji, i udajemy się do następnego ogródka, znalezione na mapce.

Tam dzieje się wiele, ogród jest duży. Straganiki z różnościami. Malarka, Anna Wojciechowska wystawia swoje obrazy, sprzedaje jednocześnie różne drobiazgi związane z kotami i Podkową Leśną.

Mnóstwo ludzi, choć nie tłum. To efekt rozłożenia obchodów na trzy dni.

Udajemy się do kawiarenki. Halina K. funduje nam kawę z ekspresu (topór!) i ciastka kajmakowe. W oczekiwaniu na kawę zwiedzamy niezwykłą kawiarnię-mieszkanie; przystosowany do działalności gospodarczej dom, ze starymi meblami, szafami, stołami. A obok tych staroci w jednym z pokoi – świetnie zaopatrzone, nowoczesny bufet. Arcyciekawe!

Wypijamy kawę (chyba do dzisiaj napędza mnie do roboty, a piszę to w poniedziałek!) i udajemy się w drogę powrotną, zaopatrzeni w materiały, kontaktowe adresy, syci wrażeń, których nie omieszkamy przekazać jeszcze przed stuleciem organizatorom w Aninie.

Dziękujemy kierowcy, panu X.



rys. Anna Wojciechowska

Okiem gościa

Zacznę od przestrogi pod swoim adresem: Chwalenie jest psim obowiązkiem gościa! Czasem jest to obowiązek ciężki, czasem przyjemny. W przypadku Anina wręcz rozkoszny. Nic to, że gorzko gościowi (bez względu na płeć!),

gdy porównuje Anin z innym, mniej szczęśliwym osiedlem, np. Falenicą. Milcz serce, chwalić trzeba. Bo niby drzewa u nas, w Falenicy, podobne, klimat nawet trochę bardziej południowy, a i wydarzeń kulturalnych znajdzie się sporo, ale gdzie się tam tę kulturę uprawia? Chytkiem, na boku, prawie w podziemiu.

Co innego Anin, panisko. Nie dość, że porządną bibliotekę ma, to jeszcze Dom Kultury w willi, jak się patrzy. I nieważne, że willa choć dwupiętrowa i rozłożysta, przyciasna trochę, oj przyciasna na anińskie kulturalne apetyty. Ale perspektywa – cymes! Idziesz, idziesz i podziwiasz. Od bramy na lewo rząd świerków (szkoda, że nie szpaler powiedziała by jakiś durny esteta), bliżej willi dwie brzozy precudnej urody i jeszcze po świerku pod obu stronach balkonu. Balkon, podkreślam! Nie balkoniku ale balkonu – sceny, która pomieściłaby naraz niejedną Julię. A pod balkonem co? Naturalna ochrona muzyków przed nieprzewidywalnym letnim deszczikiem! Same wykrzykniki mi wchodzą pod rękę na klawiaturze. Zachwyt i zazdrość mieszczą się w każdym, a tu przecież zostało jeszcze najważniejsze do chwalenia!

Mam na myśli oczywiście repertuar. Nie będę udawać, że widziałam wszystko, co Anin ma do zaoferowania w lecie,

ale zawsze trochę. Jak człowiek co dwa tygodnie musi się u siebie zмагаć (nie sam oczywiście) z urządzeniem falenickich koncertów letnich, to tylko marzy, aby od kultury odpocząć. Ale cóż – i do Falenicy doszła wreszcie wieść, że nie tylko u nas częstują na koncertach, ale także w Aninie! Takiemu wabikowi nikt nie jest w stanie się oprzeć, a przy tym można posłuchać np. precudnych rosyjskich romansów, czy latynoamerykańskich przebojów w wykonaniu meksykańskich prawie-Polaków. Dodatki w postaci parady rosyjskich chust, stoisk z różnościami, nie mówiąc już o herbacie z samowara z konfiturami – znakomite.

Podczas spotkania sobotniego 5 września zachwyciły nieprawdopodobnie dobre fotografie z Meksyku autorstwa Ryszarda Sobolewskiego wystawione w sali Klubu na V Poprzecznej. Niech żyją entuzjaści egzotyki!

W internecie przeczytałam wypowiedź Marii Wierzbickiej-Dziedzic, energicznej i pomysłowej dyrektorki anińskiego Klubu Kultury. Napisała, że dąży do tego, aby Klub stał się miejscem prezentacji własnych osiągnięć, pasji, wiedzy, zamiłowań. Zapewne tak jest, sądząc po przeszłych i planowanych imprezach. Czy jednak staje się to „odskocznią od otaczającej nas szarej rzeczywistości”? Gdzie w Warszawie, a tym bardziej w Aninie „szara rzeczywistość”? Toć ona kolorowa jest, a wstrząsająca bywa, zwłaszcza gdy człowiek słyszy, że znowu odwleka się budowa dzielnicowego Domu Kultury z prawdziwego zdarzenia. Cóż, trzeba się na razie zadowolić tym, co mamy – halą sportową w Falenicy i budującym się basenem w Aninie. A kulturę robić, czy raczej uprawiać, nadal trzeba w skromniejszych warunkach. Dopiero wtedy widać jak bieda wyzwala pomysłowość! I na tym kończy się pomysłowość gościa, do zobaczenia.

fot. Zbigniew Wizimirski

Dariusz Osiński

Wieczór w KK Anin

25.09.2009r.

Kiedyś tu Sowietci stali,
teraz poezja tańczy po sali,
unosząc żart i lekkie tchnienie
i zapomnienie, i ukojenie...

Jesteśmy w kinie.
Chwila w Norblinie,
piec gorejący,
sokół płonący...
Ciepłe oklaski i znowu słowa,
które złożyła gorąca głowa.

Pod flagą wiersza, jak droga mleczna,
polska, anińska, V Poprzeczna.

Zaproszenie



Tuwimiada 2009

Zapraszamy
13 października 2009r. o godzinie 17.00
na panopticum poetyckie
do Biblioteki im. Juliana Tuwima przy XXVI LO
ul. Alpejska 16 w Warszawie

Dyrekcja, Nauczyciele, Uczniowie

STO LAT ANINA

PATRONAT

Prezydent m.st. Warszawy, Hanna Gronkiewicz-Waltz listem przesłanym na ręce Przewodniczącego Społecznego Komitetu Obchodów Jubileuszu Stulecia Anina – Janusza Gałdy, wyraziła zgodę na objęcie ich swoim patronatem.

Dziękujemy w imieniu aninian.

APEL

Szanowni Państwo,

Anin w roku 2010 obchodzi swoje setne urodziny. W tym wyjątkowym roku planujemy zorganizować wiele imprez i uroczystości, również w celu przedstawienia naszych tak ciekawych dziejów. Apelujemy do Państwa o wypożyczenie wszelkich materialnych świadectw naszej anińskiej historii. Interesuje nas każdy drobiazg: stary numer domu z nazwą ulicy, szyldy po niegdyś istniejącym sklepie czy maglu, elementy snycerki z anińskich drewniaków, fragmenty ozdobnej furtki. Również zdjęcia miejsc, których już nie ma lub uległy przemianie, portrety i obrazy z dawnych lat... wszystko.

Zdając sobie sprawę z ogromnej wartości sentymentalnej tych przedmiotów, gwarantujemy ich zwrot w nienaruszonej formie. Im więcej tych „skarbów” zgromadzimy tym pełniejszy będzie obraz historii Anina.

Informacje o posiadanych eksponatach prosimy zgłaszać telefonicznie do jednej z wymienionych osób:

Maria Chodorek (022) 812 11 82

Janusz Gałda 0 600 199 017

Michał Nowacki (022) 613 02 70

Eksponaty będą przechowywane, a następnie wystawione w budynku XXVI L.O. w Aninie przy ul. Alpejskiej 16. Z góry serdecznie dziękujemy za każdy drobiazg. Liczymy na szeroki odzew i życzliwość.

Społeczny Komitet Organizacyjny
Jubileuszu 100-lecia Anina

PROPOZYCJE DO PROGRAMU

SADŹMY DRZEWA

Uczcijmy stulecie Anina, sadząc małe drzewka, które może dożyją następnego stulecia. Za niedługo w Aninie starych sosen już nie będzie. Usychają, są wycinane, umierają z braku wody. Zostawmy trochę zieleni tym, co po nas przyjdą. Posadź coś, co przetrwa. (K.Z.)

OTWARTE OGRODY

Redakcja oczekuje zgłoszeń osób chętnych do pokazania czegoś ciekawego (malarstwo, rzeźba, haft, ceramika, własne wyroby itp.) na terenie własnego OGRODU (otwartego przez kilka godzin w określonym przez organizatorów dniu).

Telefon 022 812 11 82